



Mela stała w korytarzu przy oknie i bezwiednie zdrapywała farbę ze spróchniałej framugi. Czowała, jak ostre drzazgi wbijają się w skórę. Znosiła to z absolutnym spokojem. A nawet mocniej zanurzała paznokcie w deskę, raniąc się aż do krwi. Czasami celowo zadawała sobie ból. Potrzeba karania samej siebie towarzyszyła jej nieustannie. Konsekwencja, z jaką to robiła, wprowadzała wszystkich z równowagi. Nigdy nie było wiadomo, co ją do tego skłania. Jaka myśl albo słowo, jakie wspomnienie wywołuje potrzebę cierpienia?

Za oknem szarzał coraz krótszy dzień. Gołe klony stroszyły bezwstydnie gałęzie za kolczastym płotem. Liście nawiane na sam środek betonowego dziedzińca trafiały w końcu pod okna gabinetu komendanta oraz pod ścianę wąskiej przybudówki, w której znajdowała się obecnie kaplica. Już dwudziesty raz patrzyła na te liście. Z każdym rokiem było ich więcej, drzewa rozrosły się i wybujały, a wysoki gmach więzienia, monumentalny budynek z czerwonej cegły, stał się dla tych liści zaporą. Z okna na trzecim piętrze roztaczał się monotony krajobraz ze starymi zabudowaniami gospodarczymi, z dachami pokrytymi poszarpaną papą i budynkami należącymi do dawnej cegielni. Na prawo w niskim pawilonie z betonu mieścił się obecnie biurowiec. Od lat nic tu nie cieszyło oka.

Melania czekała na swojego opiekuna, spoglądając z litością na wędną dracenę. Blade liście, poszukując światła, zniekształciły grubą lodygę. W zakładzie karnym dla kobiet z pełnym systemem ochrony, czyli o zaostrzonym rygorze, brakowało miejsca na kwiaty. Opiekunem w ich bloku była kobieta, trochę męska i tyczkowata, ale dość znośna i wyrozumiała. Do stała ksywkę Zelówa. Chodziła na podbitych blachami butach.

Niektórzy twierdzili, że nosi je celowo, żeby budzić respekt. Gdy nadchodziła, słyhać ją było z daleka. Przemierzała długie korytarze z wojskową werwą, a stukot obcasów rozbrzmiewał na wszystkich piętach. Właśnie kończyła swój dyżur, przekazując obowiązki stróżującym w nocy oddziałowym. Teraz wróci do swojego gabinetu, ale przedtem przejdzie wszystkie cele, sprawdzi, zanotuje, wypyta. Co komu załatwić, czy wszystkie zdrowe, czy czegoś im nie brakuje. Potem wejdzie do dyżurki, przejrzy listy, zanim je wyda, spisze adresy nadawców na wszelki wypadek, sprawdzi grafik na następny dzień i uzgodni plan zajęć na kolejny tydzień, bo jutro sobota. Jeszcze zajrzy do świetlicy, żeby zobaczyć, co robią podopieczne, czy się czasami nie biją. Dopiero wtedy pojawi się w drzwiach na samym końcu korytarza. Spojrzy na stojącą przy oknie więźniarkę i w milczeniu pokona drogę do niej. Potem, również w milczeniu, otworzy drzwi gabinetu z żółtą, olejną lamperią do połowy ściany, wejdzie, usiądzie przy biurku, z twarzą zwróconą w stronę korytarza i dopiero wtedy powie głośno, żeby weszła. Jej ochryple głos zburzy męczącą ciszę. Mela w tym czasie myślamy będzie już tam, w alei łysych klonów, po drugiej stronie krat, na wolności.

— Nie mam jeszcze decyzji — oświadcza bez wstępu, dobrze wie, o co jej chodzi, po co przyszła, dlaczego czeka cierpliwie pod drzwiami. — Obiecali, że do piątku będzie na biurku — rozkłada ręce ze smutkiem. Nie wszystkie emocje da się tu ukrywać. Jest przecież także człowiekiem, rozumie. — Wiem, Mela, wiem — patrzy ostro, ale z wyraźnym współczuciem. — Wytrzymaj jeszcze.

— Boję się — Melania ciągle stoi w progu. Jej blada twarz rozplywa się w grymasie żalu. Nie może grymasić, raczej powinna być wdzięczna.

— Obiecali podarować piątkę, a teraz zwlekają.

— Napisałam ci dobrą opinię. Dla komisji i dla sędziego. Powinni się zgodzić.

— A jeśli nie, jeśli nic z tego? — Melanii mięknię kolana.

— Zostało ci przecież niewiele — Zelówa uspokaja. — Jakoś wytrzymasz.

— Zależy mi, zbliżają się święta...

— Wiem, doskonale rozumiem. Ale niewiele mogę ci pomóc. Musisz cierpliwie czekać — oznajmia jej krótko i stuka nerwowo w metalowy blat, chce pokazać Meli, że to koniec, że nic nie wskóra tym stanem w progu, z tym głodem w oczach i w ruchach. Jej spojrzenie aż boli. Zelówa znacząco chrząka, przesuwa źrenice na wiszący zegar, zatrzymuje na nim wzrok dłużej, specjalnie, żeby nie widzieć ciemnych jak studnia oczu Melanii. Milczenie pomiędzy nimi jest męką. Już nic nie można powiedzieć, regulamin zabrania zbytich poufałości. I tak zrobiła wiele, więcej niż dla innych więźniarek, widać ma do niej słabość. Do tej twardej, a jednocześnie wrażliwej kobiety, która w więzieniu przesiedziała najlepsze lata i teraz czeka na obiecaną wolność.

— Nie mogę spać — Melania zmieniła temat. Robi lekkie „spocznij”, upewnia się, że to już koniec rozmowy. Chce jeszcze coś dla siebie załatwić, ugrać nieco czasu, nawiązać kontakt z osobą, która ma dla niej sporo sympatii. — Nie mogę spać — powtarza. — Chyba z nerwów — nabiera powietrza. — Jestem niespokojna, to pewnie dlatego.

Zelówa wstaje od biurka. Krótkie, kasztanowe włosy prześwitują na tle okna. Widać kształt wąskiej czaszki z wysuniętą nieco potylicą. Przypomina teraz faraona. Prostuje się, obciąża sztywny mundur i spogląda pod nogi, na swoją skórzaną torbę i schowaną w tyle siatkę z zakupami. Przez folię widać chleb i kostkę masła, i mleko w kartonie. Popycha ją nogą, chce ukryć przed oczami Melanii swój związek ze światem zewnętrznym, swoją babskość, którą tutaj tak skrzątnie maskuje.

— Przeszłaś pozytywnie długi proces resocjalizacji, program aktywizacji pięć razy — próbuje zatuszować zmieszanie. — Odśledziłaś trzy czwarte kary, za posłuszeństwo i zdyscyplino-

wanie wychodzisz wcześniej. Powinnaś być z siebie dumna. Do tego zdobyłaś zawód, nie jesteś stara, dasz sobie radę. Nie wiem, naprawdę nie rozumiem, czego się boisz? — Zmieniła ton na ostrzejszy. Chciała się pozbyć Melanii. Zrobiła krok w jej kierunku. Tak, zrobi to, zamknie jej teraz drzwi przed nosem, niech wreszcie wraca do celi.

Melania wie. Już nie warto zaczynać. To na nic. Rozmowy dalszej nie będzie, więc po co zbędne słowa. Zelówa ma dość.

— Dostanę coś na sen? — pyta jedynie o to.

— Zadzwońię do ambulatorium. Zgłoś się tam za chwilę — mówiąc to, spuszcza wzrok i lekko popycha drzwi. Mela widzi przed sobą białą tabliczkę z nazwiskiem. Dziwne imię, Ludmiła. Jak z takim imieniem można pracować w więzieniu? Tu jakby wszystko z jednej strony było pozbawione płci, a z drugiej tę płć podkreślające. Trzeba było specjalnej taktyki, żeby równać wszystkich pod to samo prawo, a jednocześnie traktować z wyczuciem.

Stosunek skazanych do służby więziennej z zasady był wrogim. To nic dziwnego. Nigdy pomiędzy ciemzącą a ciemionym nie będzie zgody. Wszystko ich dzieli, więc czuje się do nich nienawiść i złość, jakby byli sprawcami nieszczęść. Zemścić się na nich, odegrać, utrudnić życie. Szeroki wachlarz zachowań więźniów, trzeba wiedzieć jak się przed tym obronić. Pracownicy muszą być twardzi, najlepiej bez serca. Gdy są zbyt pobłażliwi, tracą powagę, gdy nadmiernie gorliwi, sprawia się im kłopoty, celowo, tak dla hecy, żeby było weselej. Więźniowie wyczuwają też słabszych, natychmiast przejmują inicjatywę i kpią z nich i szydzą. Mela sama czasami stosowała podobne metody. Bezsilność i marazm doprowadzały ją nieraz do szału. Kasała wtedy jak żmija. Nieraz jej się upiekło, ale czasem była karana. Zabierali jej telewizor albo możliwość wyjścia na spacer. Pół biedy zimą, ale wiosną, gdy wszystko budziło się do życia, albo latem, ciepłym, czasami upalnym, kiedy chciało się wystawić bladą skórę do słońca, to była

ogromna strata. Dziś też czuje rozpacz, ale już inną. Już nie chce nikogo zabijać. Chce wyjść stąd i odejść, najdalej jak to możliwe.

Całe życie Melanii, poza dzieciństwem, było prawdziwym dramatem. Pasma więziennej niedoli, wyparcie ze świadomości możliwości szczęścia, czekanie na nic. Teraz jest nadzieja, ale kapryśna, mazgai się i przeraża. Wyrzutek społeczeństwa — jaka miła ksywka. Codziennie budzić się i wiedzieć, że tak już zostanie do końca. Już nic nie udowodni, nikogo nie przekona, że miało być całkiem inaczej, że powinno. Czeką na to od lat bez nadziei i nagle bach. Zdjęli z niej tę klątwę jednym krótkim orzeczeniem. Idź i nie grzesz więcej. Wspaniale, lecz ciągle nie puszczają, tylko dręczą i zwodzą — wyjdzie, nie wyjdzie, wyjdzie, nie wyjdzie. Dni jak płatki stokrotki, liczydełka, wróżby beznadziejne. Tyle ich już opadło na ziemię. Kilka wagonów kwiatów przeliczyła. Zmęczyła się. Matematyka nigdy nie była dobrą stroną Meli. Dostała dwadzieścia pięć lat, bo zabiła człowieka, ale w afekcie, więc nie dożywocie. Po latach złagodzone karę do dwudziestu. Obiecali, że wyjdzie jeszcze o rok wcześniej, więc czeka, ale chyba nic z tego.

Pierwsze lata odsiadki były koszmarne: wyrzuty sumienia, tęsknota, łzy matki, ojca. Nie miała wątpliwości, czy słusznie zabiła. Ubolewała jedynie, że to nie ofierze zrobiła krzywdę, tylko swoim najbliższym i sobie. Świat nie jest sprawiedliwy do końca — to nie jest żadne odkrycie, to wie nawet dziecko, że świat jest do kitu.

Dali jej pół tabletki na spanie, malutki kawałek wybawienia od bezsenności. Trzeba połknąć kilka minut przed wejściem do łóżka, bo szybko działa. Tylko połówka, żeby nie spać zbyt długo. To Melanii zupełnie wystarczy. Chodzi o to, żeby w łóżku nie myśleć. Cóż za piękne uczucie, gdy nagle urywa się film. Rozkosz prawdziwa, odlot w nieświadomy byt. Czy śmierć w takim razie nie jest wybawieniem? Brała pod uwagę takie rozwiązanie.

Strażniczka z trzaskiem zasunęła drzwi od jej celi, ciężkie, żelazne, jak wszystko wokół. Jak ciężka odsiadka, ciężka samotność i jeszcze cięższa tęsknota. Minęło dwadzieścia lat, a ona ciągle nie wierzy. Czy to naprawdę jej się przydarzyło? Czuje się gościem w tym dziwnym świecie, w świecie niczym, do którego nikt nie chce się przyznać, a wszyscy tkwią w nim tylko chwilowo zawieszeni. Adaptacja do miejsca, w którym przyszło jej żyć trwa nieprzerwanie i nigdy się nie dokona. W tym tyglu przeróżnych typów, pomiędzy desperacją a deprawacją nie było większych różnic. Dla osoby wrażliwej i delikatnej to wstrząsające doświadczenie. Musiała zapomnieć o swojej godności, o subtelności uczuć, o współczuciu. Korytarze, cele, kraty, zgrzyt kluczy, zamków, kolor strażniczych mundurów, monotonne polecenia. Do tego zupełny brak zieleni, czerwieni. Jedynie skrawki błękitnego nieba i żółte lamperie. A przecież była taka młoda, gdy stanęła pierwszy raz obok swojej pryczy.

Zmarznięta, jak zawsze o tej porze roku, w szarym kombinezonie, który jednego dnia stał się dla niej strojem codziennym, błądzi oczami wspomnień po krajobrazach mazurskich. Wróci tam jeszcze. Milutki sweter z białej angory i ciepłe spodnie ze sztruksu zniknęły w więziennej szatni dwadzieścia lat temu. — Angorę pewnie zjadły mole, a ja wciąż żyję — myśli. — A ja wciąż zipię. — Przyzwyczajenie do luksusu, upodobania, pasje, codzienne potrzeby wrażliwego człowieka stały się kamieniem u szyi. Dlatego nigdy nie awansowała na „git człowieka”. Do końca odsiadki pozostanie „frajere”.

Kończył się kolejny dzień, kolejny piątek. Jutro kolejna sobota, kolejna niedziela. Dwa dni, w których obowiązują nieco inne zasady i śpi się ciut dłużej. Ale więźniom na śnie nie zależy. To raczej przywilej dla służby więziennej. W niedzielę nie ma apelu. Kto chce, może iść do kaplicy. O ósmej jest msza. Czasami idzie się tam dla rozrywki. Ksiądz jest emisariuszem z innego wymiaru. Przynosi ze sobą okruchy wolności, które gdy stąpa po kamiennej posadzce, odrywają się od jego sutanny i spadają

na ziemię, i świecą w ciemności jasnym blaskiem. Mela widzi ten blask, dla tego blasku stara się być co tydzień w kościele. Kościół jest bardzo skromny i trudno w nim znaleźć ślady boskości. Ołtarz ginie na tle białej ściany w mrocznym pomieszczeniu. Tlą się tylko zwykłe białe świece i czerwone światełko w kryształowym sercu.

Roma, koleżanka z celi, jest niewierząca. Chwali się tym bez końca. Twierdzi, że wiara robi z ludzi niewolników. A ona dość się w życiu nasiedziała. Przyjęła wygodną postawę i myśli tylko o sobie. No, jeszcze martwi się czasami, że w domu chłop się rozpije z tęsknoty, ale tu, na bloku jakoś sobie radzi.

— Komar jutro wychodzi — oświadcza zmartwiona. Z trudnością ukrywa swój smutek. Kilka godzin milczała. Dąsała się od obiadu. Mela nie wiedziała z jakiego powodu. Czasami potrafi tak milczeć przez tydzień, innym razem gada bez końca, wtedy można oszaleć. Jest wyniszczona i chyba chora. Jej szara cera, cienie pod oczami, to znak, że już niejedno przeszła. W wąskich, skręconych artretyzmem palcach trzyma papierosa i zachłannie wciąga w siebie nikotynę. Siwe włosy, zebrane w cieniutką kitkę opadają na zgarbione plecy. Ma zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, a wygląda na siedemdziesiąt. Siedzi już trzeci raz za rozbój z bronią w ręku i nie jest łatwą towarzyszką niedoli. Szybko wpada w złość i szuka zaczepki. Już żyć bez tego nie może, musi na podporządkowaniu mieć jakąś ofiarę, choćby tylko słowami mogła ją ranić. Ale Mela odpiera ataki. Po tylu latach odsiadki zna już skuteczne sposoby na takich narwańców jak Roma. Gdy się jest z kimś całe dni, jak one ze sobą, trzeba się dostosować. Ale równie ważną rzeczą jest umiejętność duchowej separacji, po to, żeby zachować stan psychicznej równowagi.

Roma bez przerwy pali. Na wolności piła, ale tu rzadko uda się załatwić alkohol. Czasami ktoś sprzedaje. Wtedy Roma zapija robaka i gada, i gada bez końca, dopóki nie padnie.

Komar to młoda dziewczyna. Jakaś taka cienka i wiotka, wyglądem przypomina owada. Do tego cichutko brzęczy, gdy

mówi. Oskarżona o zabójstwo, ma za sobą długi proces, ale za tydzień wychodzi na wolność. Mela widzi w niej siebie sprzed dwudziestu lat. Ale Komar była jedynie bezwolnym świadkiem okrucieństwa, a Mela wina to sprawa bezsporna.

— Będzie smutno — twierdzi Mela, ziewając. W zaciśniętej dłoni trzyma połowę tabletki. Nie połknie, zanim Roma nie zaśnie. Nie chce jej dawać satysfakcji. Znowu będzie marudzić, że się ze sobą certoli.

— Denerwuje mnie tylko — Roma kłamie. — Obnosi się z tą niewinnością. Niech spada na drzewo — oświadcza, spuszczać wzrok. To tylko dla niepoznaki, bo od dawna kocha się w małej, Mela wie, platonicznie. Nie tknie jej. Niewinnych nie tyka. Połuje na wyuzdane, bo ceregieli nie lubi. Szkoda czasu na zaloty, w więzieniu nie uchodzą romanse. Zwłaszcza w wykonaniu Romy. Delikatność to nie jest jej sposób na życie. Z Melą też próbowała, ale tylko raz. Ta wykręciła jej rękę, przygniotła kolaniem do ściany.

— To jeszcze dziecko — podejmuje temat. — Dobrze, że wychodzi.

— Taaa... — Roma dodaje krótko. — Napatrzyła się i starczy. Niech spada! — Dopala i gniecie niedopałek w palcach. Resztki tytoniu, tłącego się jeszcze, leżą na podłodze. Rozdeptuje to nogą i spluwa.

— Nie pluj — Mela syczy. — Już całą celę zaplulaś. Śmierdzi jak w chlewie. Obie śmierdzimy fajkami i twoim pluciem. — Odwraca się twarzą do ściany i patrzy na znajome rysunki. Ściana cała w gryzmołach. Ktoś grał sobie w kółko i krzyżyk. Wydrapał gwoździem dziesiątki krzyżkowych wzorków. Mela zna je na pamięć. Krzyżkowy wzór ma w oczach, kiedy zasypia.

— Jeszcze będziesz tęskniła za tym smrodem — warczy do niej Roma. — Jeszcze zatęsknisz. Mówię ci, a ja znam się na tym dużo lepiej. Wolność to wielkie gówno. — Roma kaszle. Usiłuje wycharzczyć z siebie całą nienawiść do świata.